

ROZDZIAŁ PIERWSZY

DOM JAGODY SUDEK, WARSZAWA,
25 KWIETNIA 2026, SOBOTA

Niewielkie porcje farby olejnej systematycznie łądowały na rozciągniętym na blejtramie płótnie. Siedemnastoletnia Magda w dużym skupieniu operowała pędzlem. Bardzo się starała, aby niebo na jej obrazie wyglądało równie dobrze jak to, na które właśnie zerkiała przez okno i które coraz bardziej zmieniał kolor pod wpływem zachodzącego słońca. Długi, masywny konar kasztanowca w ogrodzie chylił się ku ziemi w taki sposób, że dziewczyna mogła godzinami wpatrywać się w widok na zewnątrz, jednocześnie wygodnie leżąc na swoim łóżku. Zazwyczaj widziała tylko niebo i drzewa. Jednak od czasu do czasu na gałęzi kasztanowca przysiadł jakiś ptak lub wiewiórka. Cieszyło ją to, bo uwielbiała obserwować przyrodę w każdej postaci.

Z telewizora wiszącego na ścianie cicho sączył się dźwięk. Magda doskonale знаła już głosy wszystkich ludzi występujących w programie, będącym skrzyżowaniem reality show i talent show. Osoby, które brały w nim udział, marzyły o karierze modela lub modelki. Ich determinacja w dążeniu

do tego celu pozwalała im bez większego trudu znieść nie-
rzadko dziecinne zagrywki jurorów, którzy pomimo wielu
lat doświadczenia w branży zachowywali się bardziej infan-
tylnie niż naprawdę młodzi kandydaci, dopiero aspirujący
do kariery w show-biznesie. Niejasne kryteria, sprzeczne
oczekiwania i szukanie tak naprawdę nie wiadomo kogo,
tworzyły razem mieszankę niestrawną dla większości ludzi.
Jednak ci, którzy starali się dostać do tego telewizyjnego
show, z większością ludzi nie chcieli mieć nic wspólnego.
Wierzyli, że są ulepieni nie tyle z lepszej, co raczej z innej
gliny. Nie chcieli codziennie wstawać na tę samą godzinę do
roboty. Nie chcieli pracować ciągle w tym samym miejscu,
z tymi samymi ludźmi i za te same pieniądze. Chcieli wię-
cej – i chcieli tego od zaraz. Ich chcenie nie robiło jednak na
zblazowanych jurorach żadnego wrażenia. Spędzili w świecie
mody całe swoje dorosłe życie i pragnęli zobaczyć albo po-
czuć coś, czego nigdy wcześniej nie doświadczyli. Tymczasem
to, co oferowali kandydaci, w zamierzeniu niejednokrotnie
wprawdzie miało być szokujące, lecz w rzeczywistości było
po prostu potwornie wtórne.

Magda nie zwracała jednak uwagi na takie niuanse jak wtór-
ność przekazu czy tanie efekciarstwo stosowane przez uczest-
ników starających się przejść do kolejnego etapu. Z zapartym
tchem śledziła każdy odcinek tego programu, bo od zawsze
uwielbiała oglądać i otaczać się rzeczami w jej mniemaniu
pięknymi. Właściwie nie miało żadnego znaczenia, jakie kon-
kretnie były to rzeczy. Jeśli były ładne, Magda potrafiła oglądać
je godzinami, a czasem nawet malować. Przyroda na przy-
kład zawsze wydawała jej się piękna i tę malowała regularnie.

Niekiedy jednak potrafiła zachwycić się także jakimś przedmiotem codziennego użytku. W jej pokażnej kolekcji obrazów i zdjęć znajdowało się kilka płócien przedstawiających buty i jedno ukazujące najnowszy model iPhone'a.

Program w telewizji skończył się dokładnie w tym samym momencie, w którym Magda po raz ostatni dotknęła pędzlem płótna. Jednak tym razem prowadzący nie pożegnał się z telewidzami dobrze znaną wszystkim formułką. Zamiast tego poinformował zgromadzonych przed telewizorami, że producenci zdecydowali się na zorganizowanie dodatkowych eliminacji do drugiego etapu show. Co ciekawe, z pominięciem pierwszego.

– Jeżeli chcecie zawałczyć o możliwość uczestniczenia w finałowej, profesjonalnej sesji fotograficznej na Islandii, nie wahajcie się ani chwili, tylko zgłóście się do programu przez formularz na naszej stronie. Jeśli jesteście niepełnoletni, potrzebna jest zgoda rodziców. Jest tylko jeden warunek: musicie uważać, że zupełnie nie nadajecie się do programu o modzie. Ewentualnie wszyscy inni muszą tak uważać. Jeśli macie jedną nogę, jedno oko, dwie śledziony, zespół Downa, metr wzrostu, tonę nadwagi albo dziewięćdziesiąt lat, to na was właśnie czekamy! Zgłaszajcie się, a wszystkiego wkrótce się dowiecie. Do zobaczenia!

Kiedy gospodarz programu wypowiedział ostatnią sylabę, pędzel wypadł z dłoni Magdy, a dziewczyna gwałtownie odwróciła głowę w kierunku ekranu.

– Mamo!

Za drzwiami pokoju Magdy dało się usłyszeć głośny brzęk i gwałtowne kroki jej matki.

– Co się stało?! – Jagoda Sudek, energiczna i korpulentna szatynka, wpadła do pokoju córki wyraźnie wystraszona.

– Szukają ludzi do kolejnego etapu! Powiedzieli, że nawet jak masz jedną nogę albo zespół Downa, to możesz się zgłosić!

– Co ty mówisz, córcia? – Kobieta przytuliła nastolatkę i zdezorientowana wpatrywała się w ekran telewizora, na którym teraz migotały reklamy.

– Sama zobacz, mama, zobacz! – Magda sięgnęła po leżący na jej biurku tablet i odblokowała urządzenie, przykładając palec do czytnika linii papilarnych. – Patrz!

Na ekranie pojawiła się strona internetowa programu, którego najnowszy odcinek właśnie zakończył się w telewizji. W centralnym miejscu witryny widać było krótki film opatrzone tytułem „Nowy, niezwykle nabór!”. Magda kliknęła w link wideo. Dokładnie te same słowa, które przed chwilą popłynęły z głośników telewizora do uszu dziewczyny, teraz docierały do uszu jej matki. Sudek obejrzała nagranie do samego końca, wsłuchując się uważnie w słowa prowadzącego, po czym na dłuższą chwilę zamilkła.

– Co prawda nie masz jednej nogi, tylko dwie, ale rzeczywiście masz zespół Downa.

– Jebać Downa, mamó! Dasz mi zgodę?

– A żebyś wiedziała, że ci dam. Masz rację, jebać Downa!

– Zajebicie, mama! Dzięki! Dzięki! Dzięki! – Magda ścisnęła matkę tak mocno, że ta ledwie mogła oddychać.

– Magda, udusisz mnie! – Jagoda śmiała się przez łzy i z trudem artykułowała słowa. Bardziej jednak na skutek wzruszenia niż uścisku córki.

ROZDZIAŁ DRUGI

APARTAMENT JANINY GRABOWSKIEJ, WARSZAWA,
25 KWIETNIA 2026, SOBOTA

Janina kończyła palić papierosa na balkonie, patrząc w dal na słońce, zachodzące nad wysokimi blokami z lat siedemdziesiątych. Wiele lat temu mieszkała w jednym z nich. Marzyła wtedy, aby jak najszybciej się stamtąd wyrwać. Kiedy w końcu mogła przeprowadzić się, gdzie tylko chciała, kupiła mieszkanie o kilkukrotnie wyższym standardzie, położone kilka pięter wyżej i... zaledwie kilka przecznic dalej. Pomimo że mogła bez większego wysiłku kupić penthouse w Hiszpanii, została właścicielką apartamentu w nowoczesnym budynku na warszawskiej Woli. Dopłaciła nawet sporą kwotę tylko po to, aby móc z balkonu oglądać Jelonki Północne, w których dorastała.

Kobieta zaciągnęła się ostatni raz dymem i zamknęła oczy, wsłuchując się w zgiełk miasta rozciągającego się dwanaście pięter niżej. Uwielbiała ten monotonny szum Warszawy, w której spędziła większość życia. Niemalże co wieczór odprawiała identyczny rytuał polegający na paleniu papierosa na balkonie. Świadomie wybierała tę porę dnia, kiedy szansa,

że ktoś zadzwoni albo – nie daj Boże – przyjdzie, była już dużo mniejsza. Były dwie rzeczy, które jak nic innego pomagały jej się wyciszyć. Pierwszą z nich było zanurzanie głowy w wannie w taki sposób, aby woda zakrywała uszy, ale nie zalewała twarzy. Szum z wnętrza czaszki, generowany przez przepływającą w głowie krew, koił ją tak, jak wsłuchiwanie się w szum miasta – który był właśnie tą drugą rzeczą.

Przez moment zastanawiała się jeszcze, czy to, co przed chwilą usłyszała w telewizji, było wynikiem jej młodzieńczych obsesji czy jednak spełnieniem marzeń. Zgasiła papierosa, przyciskając go do balustrady balkonu, a następnie cisnęła nim w dal. Westchnęła i wróciła do wielkiego salonu, w którym jedynym źródłem migoczącego światła był siedemdziesięciocalowy telewizor wiszący na ścianie. Podniosła pilot od dekodera z blatu dębowego stołu i – korzystając z dobrodziejstw współczesnej technologii – zatrzymała przewijanie na moment przed zaskakującym zakończeniem programu, w którym gospodarz zachęcał do udziału w nim nawet tych widzów, którzy we własnym mniemaniu zupełnie się do tego nie nadawali.

Obejrzała końcówkę audycji jeszcze kilka razy i włączyła laptop. Po chwili na ekranie pojawiła się strona internetowa telewizyjnego show o modzie, które tak ją interesowało. W kilka minut Janina wypełniła zamieszczony na niej formularz i sięgnęła po elegancką karafkę wypełnioną koniakiem – trunkiem, którego prawie nikt już nie pił, ale który ona sama od lat niezmiennie uwielbiała. Zdołała wziąć zaledwie łyk, gdy jej najnowszy model iPhone'a cicho zabrzęczał na grubym, szklanym blacie wielkiego stołu, wartego tyle co kilkuletnie niemieckie auto.

– Dobry wieczór, szefowo – dał się słyszeć w słuchawce subtelny damski głos.

– Cześć. Coś się stało, że dzwonicz o tej porze? W dodatku w weekend?

– Nic wielkiego, ale sami nie chcemy decydować. Zaraz zaczyna się ten event w Shanghai Tunnel na Woli i ten ich manager... Kurczę, nie pamiętam nazwiska.

– Henio Żabiński.

– O właśnie, pan Żabiński twierdzi, że ta impreza może potrwać do rana i nie ma opcji, żeby oni po drugiej się zawijali.

– Tego akurat możesz być pewna. Jego goście nie kończą się bawić o drugiej. Powiedz ludziom, że za nadgodziny będą mieli zapłacone, ale Henia trzeba obsłużyć jak swojego.

– Dobra, to wszystko już jasne. Nie przeszkadzam dłużej, szefowo.

– Poczekaj, Agnieszka.

– Tak?

– Dałabyś radę zastąpić mnie na miesiąc, jakby zaszła taka potrzeba? – spytała Janina, opróżniając jednocześnie kieliszek z koniakiem.

– No, chyba tak. A coś się stało? Szefowa musi gdzieś wyjechać, czy jakieś problemy ze zdrowiem się przyplątały?

– Ze zdrowiem chyba wszystko w porządku. Być może po prostu będę musiała zniknąć na trzy, cztery tygodnie. Nie chcę teraz wdawać się w szczegóły, ale w razie czego napiszę ci w mailu, gdzie i po co jadę. Pewnie będę mogła zdalnie niektóre rzeczy koordynować, ale w dużo mniejszym zakresie niż zazwyczaj. Dasz radę? Oczywiście dostaniesz za to ekstra kasę,

a jak ci się spodoba i ogarniesz wszystko, oficjalnie zrobię cię moją zastępczynią. Sama już się nie wyrabiam.

– Nieźle, to ja dzwonię tylko po to, żeby zapytać, czy gość może do rana imprezę przeciągnąć, a tu propozycja awansu wpada. Muszę częściej dzwonić, cholera! – Agnieszka szczerze zaśmiała się do telefonu.

– Teraz to nawet będziesz musiała częściej dzwonić. Czyli bierzesz to?

– Pewnie. Od kiedy?

– Za kilka dni jakoś. Miłej zabawy! – Janina zakończyła rozmowę i odstawiła pusty kieliszek na stół.

Chwilę później wróciła do laptopa. Program pocztowy sygnalizował właśnie nadejście nowego maila potwierdzającego przyjęcie zgłoszenia do programu. Grabowska uśmiechnęła się i równocześnie głośno westchnęła, przypominając sobie wszystko, o czym marzyła jakieś czterdzieści lat wcześniej, kiedy jako dwudziestolatka wpatrywała się w czarno-biały telewizor, na ekranie którego w rytm piosenki *Flames of Love* maszerowały modelki. Szansa na zostanie jedną z nich pod koniec lat osiemdziesiątych w Polsce była praktycznie zerowa, jeśli nie pochodziło się z jakiejś wybitnie ustosunkowanej rodziny. Janina z takiej nie pochodziła. Była córką fryzjerki i motorniczego tramwaju, więc na żadne koneksje w świecie mody liczyć nie mogła, zwłaszcza że wskutek pewnych dramatycznych wydarzeń kilka lat spędziła w domu dziecka. Właściwie to na koneksje nie mogła liczyć w żadnym środowisku. Jedynym jej łącznikiem ze światem mody i urody był salon fryzjerski, prowadzony przez wiele lat przez matkę – zanim tragicznie zmarła – w mieszkaniu znajdującym się na

parterze bloku, w którym razem mieszkały. To właśnie tam, będąc dziewczynką, Grabowska w nieskończoność przerzucała kartki magazynów o modzie, przywiezionych przez siostrę mamy z zachodnich Niemiec. Jako nastolatka nie do końca rozumiała, dlaczego rzeczywistość za granicą tak bardzo odbiegała od rzeczywistości PRL-u. Rozumiała jednak, że chce żyć w tamtejszym, kolorowym świecie, a nie tym nadwiślańskim, mieniącym się co najwyżej kilkoma odcieniami szarości.

Miesiąc po skończeniu studiów wyjechała więc do Niemiec, wierząc, że tam uda jej się odnieść prawdziwy sukces. Polska gospodarka przechodziła wówczas olbrzymią transformację i ludzi, którzy znali języki i mieli porządne wykształcenie biznesowe, zasysała w ilościach hurtowych. Jednak Janina chciała czegoś więcej. Chciała zobaczyć, jak się robi pieniądze, a nie po prostu zarabia.

Pomimo tego, że była wyjątkowo atrakcyjną kobietą, o karierze modelki nadal nie mogła myśleć. Za młodu uważała, że główną przeszkodę stanowił fakt, iż jej rodzina nie miała żadnych kontaktów w branży modowej. Z czasem dotarło do niej jednak, że piękna twarz to zwyczajnie za mało. Potrzebne jest jeszcze jakieś sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu i idealna wręcz sylwetka. Żadnego z tych kryteriów Grabowska nie spełniała. Nigdy jednak tak do końca nie porzuciła swoich marzeń.

Karierę zaczęła od pracy w barze. Znając biegle angielski i niemiecki, a także mając niezłą prezencję, szybko znajdowała zajęcia w coraz bardziej luksusowych, berlińskich klubach, które w latach dziewięćdziesiątych należały do najmodniejszych w Europie. Z czasem została specjalistką od organizowania

zamkniętych imprez dla zamożnych klientów. Później przekształciła się w agentkę polskich muzyków, próbujących podbić niemiecki rynek. U szczytu swojej zagranicznej kariery, kiedy zarabiała już duże pieniądze i była jedną z bardziej rozpoznawalnych menedżerek w branży rozrywkowej, postanowiła rozszerzyć działalność na rynek polski. Z powodzeniem rozkręciła nad Wisłą firmę organizującą koncerty i produkującą reklamy. Mimo że nie brakowało jej niczego, przez wszystkie te lata czuła, że nie dane jej było choćby spróbować spełnić swojego młodzieńczego pragnienia. Jako osoba nad wyraz sprawcza nienawidziła sytuacji, w których jakieś mniej lub bardziej obiektywne, zewnętrzne czynniki stawały jej na drodze do osiągnięcia celu. Sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu było właśnie takim czynnikiem. Do dzisiaj.

ROZDZIAŁ TRZECI

KLUB VOODOO, WARSZAWA, 25-26 KWIETNIA 2026,
NOC Z SOBOTY NA NIEDZIELĘ

Nocny klub Voodoo na warszawskiej Woli dopiero za godzinę miał otworzyć swoje podwoje. Lokal otwierał się jedynie w weekendy i za każdym razem wypełniał się po brzegi miłośnikami ostrej, alternatywnej muzyki lub nietypowych doznań erotycznych. Te ostatnie bowiem promowano tutaj przy okazji regularnych quasierotycznych pokazów performerów odzianych w skóry i wymachujących pejcjami.

W ogólnym hałasie i zamieszaniu nikt z bawiących się gości nie miał szans zauważyć, jak Eliza Żukowska, dwudziestosiemioletnia barmanka na wózku inwalidzkim, próbuje dosięgnąć szklanki. Stała ona na tyle daleko, że dziewczyna, aby ją chwycić, musiała podeprzeć się ramionami o kontuar.

– Kurwa, Lizka, wiedziałem, że symulujesz i ten wózek to lipa! – zawołał Łukasz Kalinowski, ochroniarz klubu, który z drugiej strony baru zauważył jej nietypową pozycję.

– Zdemaskowałeś mnie. Już ponad dwadzieścia lat wszystkim w chuja robię.

– Dasz radę? – spytał mężczyzna już poważniejszym tonem.

– Ta...

– Nie nudzi ci się u nas, Eliza?

– Czasem nudzi, ale chwilowo nie znam nikogo innego, kto pragnie zatrudnić barmankę z grupą inwalidzką i niedużym doświadczeniem. A jak widzisz, z każdym dniem tutaj nabieram wprawy.

– Pracowałaś kiedyś w zawodzie?

– Jako informatyczka?

– Właśnie. – Łukasz wstał, położył na barze banknot dziesięciozłotowy i zabrał z lodówki napój energetyczny.

– To nie dla mnie. Żeby zarobić sensowne pieniądze w tej branży, trzeba mieć pięć razy lepsze kwalifikacje niż ja. Musiałabym iść na studia i jednocześnie łąpać doświadczenie. – Eliza westchnęła, wycierając szklanki i chowając banknot do kasetki na gotówkę. – Poza tym jakoś nie widzę się w tej robocie. Fajnie jest wiedzieć coś więcej o komputerach, ale to jest dobre przede wszystkim dla osób, które wolą maszyny od ludzi. Ja bym zwariowała, siedząc cały dzień przed monitorem.

– To po cholerę poszłaś do takiego technikum? – zdziwił się Kalinowski.

– A jak myślisz? Starzy sugerowali mi coś, co nie będzie kolidowało z faktem, że poruszam się na tym jebanym wózku i jednocześnie będzie dawało nadzieję na sensowne zarobki.

– Teoretycznie mieli rację, ale skoro tego nie lubisz, to po jakiego wała ich słuchałaś?

– Łukasz, jak masz kilkanaście lat i grupę inwalidzką, to twoja pewność siebie raczej nie rozpiędała sufitów. Sam stwierdziłeś, że pomysł był teoretycznie dobry. Jako że kilka

lat temu nie miałam żadnego praktycznego doświadczenia, to rozwiązania teoretyczne uważałam za najlepsze.

– Rozumiem. Czyli poszłaś po linii najmniejszego oporu?

– Można tak powiedzieć.

– A gdybyś mogła wybierać, kim byś została? – Kalinowski nie odpuszczał.

– Łyżwiarką figurową. Stary, co cię dziś napadło z tymi pytaniami? Ty zawsze marzyłeś o byciu ochroniarzem w Voodoo?

– Nie do końca, ale faktycznie chciałem się zajmować ochroną. Sam nie wiem czemu. Czasem myślę, że to przez film *Bodyguard* z Kevinem Costnerem i Whitney Houston. Póki co, wielkich gwiazd nie ochranialem, ale przynajmniej czasem ktoś znany tu wpadnie. I zawsze jeszcze mam boks. A jak łykniesz mój pomysł, to może wkrótce ty mi jakąś lepszą fuchę ogarniesz.

– Ja? – Zaintrygowana Eliza odłożyła szklankę i ścierkę.

– Głupia sprawa trochę, ale chuj tam, zaryzykuję naszą znajomość. Obczaj to... – Łukasz sięgnął po smartfon i wysłał koleżance link za pośrednictwem komunikatora internetowego.

– Co to jest? – spytała Żukowska, ale zaraz zamilkła, wpatrując się w ekran, na którym przed momentem pojawiła się strona telewizyjnego show o modzie. – Czemu mi to wysłałeś?

– Jesteś fajna, ładna, taka wręcz klasyczna niebieskooka blond piękność. Ale podejrzewam, że myślisz, że się w ogóle do czegoś takiego nie nadajesz. Tymczasem według tego, co mówi ten koleś, nadajesz się idealnie.

– Skąd ci to w ogóle przyszło do głowy?

– Jakoś tak samo wyszło. Oglądałem to przed wyjściem do roboty i od razu o tobie pomyślałem.

– Ty wiesz, że... – Eliza oderwała wzrok od ekranu swojego smartfona i spojrzała mężczyźnie prosto w oczy – ...chyba po raz pierwszy ktoś pomyślał o mnie inaczej niż o osobie niepełnosprawnej, jednocześnie nie udając, że nie jestem niepełnosprawna.

– Mnie też się to ich podejście spodobało. Weź się zgłoś. Co ci szkodzi?

– Chyba nic. – Dziewczyna uśmiechnęła, podparła dłońmi o bar i z pewnym trudem podniosła z wózka, po czym pocałowała Łukasza w policzek.

ROZDZIAŁ CZWARTY

GOSPODARSTWO OGRODNICZE „HURTOWA
SZKÓŁKA ROŚLIN”, SKIERNIEWICE,
26 KWIETNIA 2026, NIEDZIELA

Trzydziestotrzyletni Adam Świderek wprawnym ruchem przekręcił klucz w masywnej kłódce, zabezpieczającej wielką bramę przed intruzami. Szefowie firmy, w której pracował, absolutnie nie nalegali, aby przychodził do pracy w weekendy. Kiedy jednak sam zaproponował, że mógłby pojawiać się co niedzielę na kilka godzin w zamian za możliwość wychodzenia o godzinę wcześniej w tygodniu, z radością się zgodzili. Gospodarstwo było jednym z większych w Skierniewicach i każdy dodatkowy dzień pracy specjalnie wynajętego pracownika ochrony byłby dużo bardziej kosztowny niż dogadanie się z jednym z już zatrudnionych ludzi, aby doglądał interesu w weekendy. A Adam uwielbiał przebywać na terenie gospodarstwa właśnie w dni wolne od pracy. Co prawda na co dzień także nie było tu tłumów, ale zawsze te kilkanaście osób kręciło się po polach, na których uprawiano kwiaty przeznaczone na sprzedaż. Możliwość obcowania z setkami roślin sam na sam była dla Adama czystą przyjemnością.

Tak naprawdę był gotów robić to za darmo. Zgodnie jednak z zaleceniami psychoterapeuty – do spotkań z którym Świderka zmusiły jakiś czas temu życiowe okoliczności – był już dużo ostrożniejszy w oferowaniu bezinteresownej pomocy. Układ z wychodzeniem o godzinę wcześniej w ciągu tygodnia wydawał się w tych okolicznościach najrozsądniejszy. Korzystając z faktu, że w niedziele nie działa się w gospodarstwie dosłownie nic i nikogo tu nie było, rozstawiał czasem na polu sztalugę i malował, robiąc co kilkanaście minut przerwę na obchód budynków firmy i sprawdzenie, czy wszystko jest jak należy.

Ta niedziela była jednak inna niż wszystkie poprzednie. Adam stał pośród morza kolorowych roślin i wpatrywał się w dal z rękami wciśniętymi w kieszenie ciasnych, idealnie dopasowanych do jego sylwetki eleganckich jeansów (tak bardzo lubił zawsze wyglądać, że wolał zaryzykować ubrudzenie ich farbą niż przebrać się w jakieś robocze spodnie). Od wczoraj nie mógł przestać myśleć o tym, co zobaczył pod koniec swojego ulubionego telewizyjnego show o modzie, która to stanowiła jego życiową pasję. Trzy nieudane podejścia do egzaminów wstępnych na Akademię Sztuk Pięknych wiele lat temu skutecznie zniechęciły Adama do świata sztuki i – szerzej – show-biznesu. Jego talent był wystarczający, żeby dostać się na listę rezerwową kandydatów, ale nigdy nie pozwolił mu przejść z niej na listę studentów pierwszego roku. W końcu Świderek doszedł do wniosku, że istnieje analogia między jego próbami dostania się na wymarzone studia a próbami wyjścia z grupy polskiej reprezentacji piłkarskiej. Umiejętności i talent wystarczały na eliminacje. I niestety na nic więcej.

Stojąc teraz na polu pełnym kwiatów, Adam zamknął oczy i pomyślał o tym, że z jakichś całkowicie nieznanых mu powodów los nagle dał mu szansę na zaistnienie w modelingu. I to kilka lat po tym, jak na dobre porzucił marzenia o studio-waniu na ASP oraz kilkanaście lat po tym, jak zrozumiał, że mając metr sześćdziesiąt wzrostu, nigdy nie zostanie modelem. Bardzo chciał wierzyć, że to, co wydarzyło się w ciągu ostatniej doby, nie było zbiegiem okoliczności. Bo Adam w zbiegi okoliczności nie wierzył. Wierzył, że wszystko dzieje się z jakiegoś powodu i ma jakiś cel. Na gruncie logiki oczywiście nie sposób było obronić takiego poglądu. Jedynym narzędziem pozwalającym zachować podobny punkt widzenia była religia, ale od tej mężczyzna już dawno stronił. Wierzył natomiast w jakiś kosmiczny plan, który prędzej czy później miał doprowadzić do powstania czegoś nie mniej spektakularnego niż Droga Mleczna czy nawet sama ludzkość.

Z zadumy wyrwał Świderka telefon komórkowy, który cicho zasygnalizował nadejście maila. Dokładnie w tym samym momencie podmuch wiatru uderzył go w twarz, bombardując nozdrza zapachem tysiąca kwiatów. Adam nie miał pojęcia, kto był nadawcą wiadomości, ale był pewny, że właśnie na nią czekał jakieś dwie dekady. Nie mylił się. W skrzynce pojawiło się potwierdzenie przyjęcia zgłoszenia do specjalnej edycji telewizyjnego programu dla osób marzących o byciu modelem lub modelką. Specjalnej, bo adresowanej do ludzi takich jak Adam – pozornie ani trochę nienadających się do tej roli.

Mężczyzna odczytał maila, uśmiechnął się do siebie i wcisnął aparat ponownie do kieszeni. Następnie podszedł do sztalugi, na której rozciągnięte było płótno. Przez moment

wpatrywał się w barwny pejzaż własnego autorstwa, który był tak szkolny i poprawny, że nie nosił tym samym żadnych znamion sztuki.

– Kurwa, co za gówno! – zaklął głośno Adam i pokręcił głową, patrząc na własne dzieło. – Jebany plakat z Ikei wywołuje więcej emocji niż ten landszaft – dodał, zdejmując obraz ze sztalugi.

Świderek rzucił malowidło na ziemię i odszedł z pola w stronę zabudowań gospodarczych, znajdujących się na terenie firmy. Po kilku minutach, krokiem pewnym jak nigdy, wrócił w kierunku ciśniętego w piach obrazu. W jednej ręce trzymał mały, metalowy kanister z benzyną, a w drugiej pudełko zapalek. Ten sam wiatr, który przed kilkoma chwilami najwyraźniej przyniósł Adamowi dobre wieści, teraz podsycał płomień trawiący jego obraz. Zapach tysięcy kwiatów na moment wymieszał się z wonią oparów benzyny i płonącej farby olejnej, w jakiś przedziwny sposób tworząc kompozycję wręcz idealną – aromat zgniłych kompromisów podpalonych paliwem determinacji. To właśnie tego zapachu Adam nie chciał zapomnieć już do końca życia.